

Styczeń 2010

Co należy do Boga – Bogu

Chociaż polska opinia publiczna jest informowana o reformatorskich planach prezydenta USA Baracka Obamy, to jednak szczegóły działań podejmowanych przez nową amerykańską administrację uchodzą uwagi większości. Do nowych inicjatyw należą np. plany zniesienie możliwości sprzeciwu sumienia lekarza poprzez podniesienie prawa do aborcji do rangi jednego z praw człowieka i zobowiązanie szpitali do zapewnienia tej „usługi”. Wierzący Amerykanie, którzy tradycyjnie aktywnie uczestniczą w życiu politycznym, wielokrotnie publicznie wyrażali swój sprzeciw wobec tego typu zamierzeń. Jednym z konkretnych jego przejawów jest tzw. „Deklaracja Manhattańska”, opublikowana pod koniec listopada ubiegłego roku przez 168 duchownych oraz członków wspólnot chrześcijańskich w USA. W ciągu dwóch miesięcy inicjatywa ta zyskała poparcie ponad 300 tysięcy wierzących, nie tylko Amerykanów, gdyż problematyka w niej poruszona jest niezwykle aktualna także w Europie. Ten niespełna jedenastostronicowy dokument (<http://www.manhattandeclaration.org/the-declaration>), sygnowany przez przedstawicieli wspólnot prawosławnych, katolickich i protestanckich, zawiera głos sprzeciwu chrześcijan wobec łamania wolności sumienia, naruszania świętości życia ludzkiego i deprecjonowania znaczenia małżeństwa i rodziny.

W deklaracji podkreśla się wkład chrześcijan w budowanie demokratycznego społeczeństwa, a jednocześnie wskazuje na dokonującą się destrukcję podstawowych zasad sprawiedliwości i dobra wspólnego. Zdaniem sygnatariuszy deklaracji, pierwszym przejawem tych destrukcyjnych tendencji jest osłabienie prawnej ochrony życia osób najbardziej zagrożonych poprzez legalizację aborcji, wykorzystywanie ludzkich embrionów i nacisk zmierzający

do legalizacji eutanazji. Nie są to nowe zjawiska. Od popularnych na początku XX w. tendencji eugenicznych, które doprowadziły do wynaturzeń dokonywanych przez dwudziestowieczne dyktatury, różnią się one jedynie tym, że obecnie są propagowane pod hasłami wolności, autonomii i wolnego wyboru.

Innym przejawem współczesnych zagrożeń są inicjatywy zmierzające do zmiany rozumienia małżeństwa. Próby redefinicji małżeństwa, by obejmowało także związki homoseksualne oraz jednoczesne związki wielu partnerów (określane w języku angielskim jako *polyamorous relationships*) są raczej symptomem niż przyczyną głębokiej erozji kultury małżeńskiej. Sygnatariusze deklaracji wskazują na głębokie negatywne skutki prawnej legalizacji i uprzywilejowania tego typu związków, do których należy m.in. konieczność zamknięcia chrześcijańskich ośrodków adopcyjnych, które nie są gotowe pośredniczyć w adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

Wreszcie w deklaracji zwraca się uwagę na prawne ograniczanie wolności religijnej chrześcijan poprzez eliminację klauzuli sumienia, wywieranie nacisku na organizacje pro-life, chrześcijańskie szpitale i ośrodki rehabilitacyjne oraz lekarzy, pielęgniarki i innych pracowników służby zdrowia. Dokonuje się to np. poprzez administracyjne zarządzenia, przymuszające instytucje i poszczególne osoby do wykonywania aborcji pod groźbą utraty licencji, państwowego dofinansowania czy też miejsca pracy. W niektórych krajach ofiarami sankcji prawnych stali się także duchowni, publicznie opowiadający się zawartą w Biblii negatywną oceną aktywności homoseksualnej.

Przedstawiona w Deklaracji Manhattańskiej analiza tendencji, wpływających coraz poważniej na sytuację chrześcijan w dzisiejszym świecie, przywołuje bezwiednie na myśl czasy końca XIX, czyli tzw. *Kulturkampf*. Przy całej odmienności sytuacji, historycznych okoliczności, rozmiarów działań i

użytych środków, uderza jedno istotne podobieństwo: zarówno wtedy, jak i dzisiaj, polityczni decydenci usiłowali i usiłują wyrugować wpływ wiary chrześcijańskiej z przestrzeni publicznej za pomocą prawa stanowionego. Dokonuje się to dziś coraz częściej nie tylko na płaszczyźnie poszczególnych krajów i rządów, ale poprzez struktury ponadnarodowe, takie jak Unia Europejska czy też ONZ. Jeden z niemieckich teologów, prof. Thomas Schirrmacher w swoim komentarzu do Deklaracji Manhattańskiej zauważa, że wywierany na chrześcijan nacisk zmierza nie tyle do zmuszenia ich, by postępowali zgodnie ze zdaniem większości (bo ta nierzadko wcale nie podziela zamierzeń wpływowych centrów decyzyjnych), ale do narzucenia całym społeczeństwom odmiennych schematów myślenia, do redefinicji świata wartości i wytworzenia nowych kryteriów oceny etycznej. Dzieje się to często za pomocą medialnie wzmocnionych i zmanipulowanych przekazów, odzwierciedlających rzekomo poglądy większości społeczeństw.

Podejmowane działania mają na celu wyrugowanie z przestrzeni publicznej ocen i poglądów chrześcijańskich – bądź to poprzez zmuszenie wierzących do zajmowania postaw lojalnych wobec propagowanych kryteriów etycznych, bądź też przez usunięcie niepokornych z eksponowanych i decydenckich stanowisk, a przez to przez zawłaszczenie życia publicznego. Chrześcijanie mają zrezygnować z własnej etyki – i to nie tyle na korzyść całkowitego relatywizmu etycznego, ale na korzyść takich ocen etycznych, jakie odpowiadają intensywnie (i nierzadko agresywnie) propagowanej etyce laickiej.

Chrześcijanie od początku Kościoła byli lojalni wobec władzy cywilnej, a jeżeli jej się sprzeciwiali, to dlatego, że przekraczała ona granice swoich kompetencji, stając się władzą uzurpatorską, tyrańską i totalitarną. Współczesna sytuacja sprawia, że chrześcijanie, jeśli tylko chcą dochować wierności swojemu sumieniu, muszą coraz częściej wyrażać swój sprzeciw.

Zdanie kończące Deklarację Manhattańską może stanowić motto postępowania chrześcijanina wobec tego współczesnego nacisku: *Pragniemy całkowicie i bez sprzeciwu oddać cesarowi to, co należy do cezara. Ale pod żadnym pozorem nie jesteśmy gotowi oddać cesarowi to, co należy do Boga.*

Luty 2010

Auschwitz – przedsionek piekła

Przypadająca 27 stycznia 2010 sześćdziesiąta piąta rocznica wyzwolenia obozu Auschwitz – Birkenau, przywołała po raz kolejny niebywały wprost rozmiar okrucieństw, jakie tam się dokonały. Określenia „fabryka śmierci”, czy „przedsionek piekła” wyrażają raczej bezsilności naszego języka, który nie potrafi wyrazić rozmiarów zdziczenia i potworności zbrodni, której obiektem stali się przede wszystkim Żydzi. Zginęły tam jednak również dziesiątki tysięcy przedstawicieli innych narodowości. Winą, za którą karano śmiercią, była już sama przynależność do narodu przeznaczonego na zagładę, albo też do grupy społecznej, szczególnie znienawidzonej. Jeden z więźniów opowiada, jak zaraz po przybyciu do obozu współwięźniowie wyjawili mu okrutną prawdę: *Jeżeli będziesz miał szczęście, przeżyjesz tu kilka miesięcy, a jeżeli jesteś Żydem albo katolickim księdzem, to będziesz żył kilka dni.*

Wyjątkowość zbrodni, dla której symbolem stała się niemiecka nazwa *Auschwitz*, nie ulega wątpliwości. Z jednej strony wyjątkowość ta polegała na „uprzemysłowieniu” zabijania. Egzekucje, które niestety zdarzają się w każdej wojnie, nie były już incydentalne, ale stały się elementem taktyki wojennej, realizowanym na masową skalę, z matematyczną niemal precyzją i z użyciem najnowszych zdobyczy techniki. Dzięki wybudowaniu komór gazowych naziści chcieli usprawnić i zracjonalizować proces uśmiercania, gdyż egzekucje przy

użyciu broni palnej okazywały się być męczące i mało efektywne. Po prostu trudno było w ciągu jednego dnia „ręcznie” uśmiercić tak wielką liczbę ludzi, jak stało się to możliwe przy użyciu komór gazowych. Trudno nie dostrzec w tej lodowatej racjonalności ekstremalnego zdziczenia i zaprzepaszczenia człowieczeństwa. Nie można też nie wskazać na drugi, równie ważki aspekt wyjątkowości zbrodni oświęcimskiej. Stała się ona bowiem środkiem planowej zagłady całego narodu – Żydów. Obozy śmierci miały stać się przepaściami, do których zostanie zepchnięty, a tym samym wymazany z powierzchni ziemi, cały naród żydowski.

W tym miejscu dotykamy jeszcze jednego aspektu tej zbrodni, którego nie da się wyrazić ani w kategoriach wyłącznie politycznych, ani nawet etycznych. Jej głębia sięga fundamentalnego zmagania dobra ze złem, jakim naznaczona jest historia ludzkości od jej zarania. Stojąc w dniu 28 maj 2006 r. w Auschwitz przed rzędem tablic, upamiętniających martyrologię wielu narodów, papież Benedykt XVI z wielką przenikliwością wyraził ten wymiar oświęcimskiego dramatu: *Wszystkie te pamiątkowe tablice mówią o ludzkim cierpieniu, wskazują na cynizm władzy, która traktowała ludzi jak przedmioty, nie dostrzegając w nich Bożego obrazu. Niektóre z tablic należy wspominać w sposób szczególny. Jedną z nich jest tablica z napisem w języku hebrajskim. Władze Trzeciej Rzeszy chciały całkowicie zmiażdżyć naród żydowski; wyeliminować go z grona narodów ziemi. Słowa Psalmu: "Przez wzgląd na Ciebie ciągle nas mordują, mają nas za owce na rzeź przeznaczone" w okrutny sposób się spełniają. W istocie, bezwzględni zbrodniarze, unicestwiając ten naród, zamierzali zabić Boga, który powołał Abrahama, a przemawiając na Górze Synaj, ustanowił zasadnicze kryteria postępowania ludzkości, obowiązujące na wieki. Skoro ten naród, przez sam fakt swojego istnienia stanowi świadectwo Boga, który przemówił do człowieka i wziął go pod swoją*

opiekę, to trzeba było, aby Bóg umarł, a cała władza spoczęła w rękach ludzi - w rękach tych, którzy uważali się za mocnych i chcieli zawładnąć światem. Wyniszczając Izrael, chcieli w rzeczywistości wyrwać korzenie wiary chrześcijańskiej i zastąpić ją przez siebie stworzoną wiarą w panowanie człowieka - człowieka mocnego.

Kiedy tak się spogląda na Auschwitz, ujawnia się niemalże demoniczny charakter tego wydarzenia. Zasięg i głębia tej zbrodni ujawniają to pojedyncze miejsce w historii, gdzie ludzkie serca i umysły stały się bezpośrednimi kanałami, przez które zło w swojej najgorszej postaci mogło bez przeszkód i bez skrupułów się rozlać po świecie.

Całościowe spojrzenie na Auschwitz utwierdza w przekonaniu, że nie wolno w żaden sposób bagatelizować tej tragedii. Nie wolno jej pomniejszać, uważać za epizod z przeszłości, ani w żaden sposób zawłaszczać. Kto jest zdolny dostrzec głęboki, niemalże teologiczny wymiar tragedii oświęcimskiej, będzie się też wystrzegał jakiegokolwiek nadużywania piekła Auschwitz do potrzeb aktualnej polityki, i to z jakiegokolwiek strony. Bo tak samo, jak oburzające jest pomniejszanie rozmiarów i znaczenia tej tragedii, usprawiedliwianie a nawet rehabilitowanie nazistowskich oprawców, tak samo nie do przyjęcia jest określanie mianem antysemityzmu ujawnianie historycznych świadectw współpracy pojedynczych Żydów z reżimami, zarówno nazistowskim, jak i sowieckim. Nie wolno zapominać o tragedii Żydów, stanowiących nieporównanie największą grupę narodowościową, która zginęła w Auschwitz, a przekazanie pamięci o tej zbrodni musi być traktowane jako obowiązek wobec nadchodzących pokoleń. Nie wolno jednak także pomniejszać kaźni i męczeństwa obywateli innych narodów i zaangażowania, nierzadko pod groźbą utraty życia, wielu bezimiennych, którzy ratowali Żydów przed zagładą.

Głębia tej tragedii sprawia, że jakiekolwiek jej wykorzystywanie do bieżącej polityki, do bardziej wyrazistej autokreacji pojedynczych osób i organizacji, czy nawet do uzyskiwania doraźnych korzyści, musi być określone jako podłość.

Marzec 2010

Bóg Avatara

Chociaż film Jamesa Camerona *Avatar* otrzymał jedynie trzy prestiżowe Oscary, to jednak nie powinno się przejść nad nim do porządku dziennego. Film rzeczywiście może robić wrażenie. Oglądany w wersji 3D przez specjalne okulary jest w stanie przenieść w bajkowy świat. Widz odnosi nieodparte wrażenie, że wraz z głównym bohaterem błądzi w przepastnej i bajecznie kolorowej dżungli porastającej Pandorę – ziemiopodny księżyc w układzie Alfy Centaurii, staje nad przepaściami urwistych kanionów, lata na smokowatych ekranach, staje wobec gigantycznych unoszących się w powietrzu gór i czuje na dłoni delikatne rzęski wszędobylskich nasion świętego drzewa, a na stopach szorstki mech porastający ścieżki – gigantyczne konary drzew. Od strony techniki filmowej *Avatar* prezentuje niewątpliwie nową jakość kina i chyba słusznie nadane mu Oscary dotyczą właśnie tej warstwy.

Skromniej już wypada film Camerona, gdy zapytać o jego fabułę. Upraszczając można by ją określić jako skrzyżowanie opowieści rodem z Karola Maya z przerysowanym apelem ekologicznej czy antyimperialistycznej propagandy. W zasadzie jest to opowieść jak żywcem wycięta z filmów o rdzennych mieszkańcach Dzikiego Zachodu: żyjący w zgodzie z naturą rdzenni mieszkańcy zostają brutalnie napadnięci i wygnani ze swoich terenów przez bezmyślnych i prymitywnych najeźdźców, którzy widzą jedynie potencjalne

zyski i dla nich gotowi są bezcześcić największe świętości. Jednak jeden z nich, Jake Sully, pod wpływem spotkania z tubylcami i miłości to córki ich przywódczyni, przechodzi na ich stronę, po czym stając na czele prześladowanych, niczym pankosmiczny „Che” Guevara uwalnia planetę od najeźdźców. Oczywiście ta stara jak kino fabuła zostaje przeniesiona w przyszłość: najeźdźcy nie przyptywają już na żaglowcach, ale na statkach powietrznych, a tubylcy, chociaż używają łuków, dosiadają koniopodobnych stworzeń i mają nawet indiańskie fryzury, należą do gatunku trzymetrowych kotowatych humanoidów – ludu Na’vi.

Uważnemu widzowi nie umknie jednak jeszcze głębsza warstwa tego filmu i właśnie jej warto poświęcić najwięcej uwagi. Film zawiera szereg asocjacji i odnośników do świata ducha i religii. Jednak – może nawet wbrew zamierzeniom twórców – odzwierciedla on dobrze współczesny sposób udzielania odpowiedzi na te najgłębsze ludzkie pytania. Na pierwszy rzut oka przesłaniem filmu jest kąśliwa krytyka myślenia konsumpcyjnego, zdominowanego przez technikę i rządę zysku; myślenia, dla którego wartości duchowe, święte symbole (do jakich w filmie jest święte drzewo Na’vi) to tylko – jak pogardliwie określa to jeden z najeźdźców – „paprotki”, które równie dobrze można wyciąć i zastąpić czymś innym.

Ale czy logika, zgodnie z którą twórcy filmu zbudowali świat Pandory, jest naprawdę głęboko duchowa? Świat ten – to system wymiany energii, a jego poszczególne elementy są jedynie częściami całości, trybikami w systemie. Umysł i duch – zarówno ludzi jak i Na’vi, może być przeniesiony w inne ciała, jakby był jedynie kwantum informacji, pakietem tetrabajtów. Charakterystyczną cechą stworzeń Pandory jest swoista „wtyczka”, coś w rodzaju internetowego łącza (stanowi go końcówka ogona, lub kosmyka włosów), dzięki któremu Na’vi mogą się „wkliknąć” w umysły innych stworzeń.

Gdy się jest na odpowiednim miejscu (w swego rodzaju „świętym gaju”), można przez to złącze wniknąć do świadomości całej planety, w której są ukryte także jestestwa przodków i która nie bez powodu określona została jako pramatka Ey’wa. Nietrudno dostrzec tu echo popularnych we współczesnych kręgach ezoterycznych i New-age’owskich wyobrażenia o tym, że cała biosfera stanowi jedną żywą istotę, samoświadomą i boską. Stworzony w imponujący sposób przez Camerona świat flory i fauny Pandory – świat, mający być swoistym anty-obrazem zniszczonej ekspansją techniki Ziemi – jest paradoksalnie światem zbudowanym i funkcjonującym według tej samej technicznej logiki, która stała się przyczyną degradacji ziemskiego środowiska. Wszystko, co wydaje się należeć do świata ducha, przy głębszym oglądzie jest jedynie energetyczną postacią materii.

Postulat szacunku dla odmienności i pochwała życia zgodnego z naturą jest tu zanurzona w świat nie tylko fantastyki popularno-naukowej, ale w ezoteryczno-magiczny świat New Age. Film Camerona w bardzo plastyczny sposób ukazuje istotną cechę współczesnego człowieka. Jako dziedzic Oświecenia, nie chce on już akceptować wiary w Boga osobowego, ale jego pozorny ateizm bardzo szybko gubi się w meandrach magii. Znajduje przy tym w niej coś bardzo mu bliskiego: mentalność opartą na tym samym technicznym myśleniu. Technika i magia zawsze były blisko siebie, bo opierają się na tej samej zasadzie: wystarczy znać właściwy szyfr, by móc sobie podporządkować rzeczywistość. Jak w technice trzeba znać prawa funkcjonowania materii, by ją móc zaprząć do własnych celów, tak w magii trzeba znać odpowiednią formułę, mantrę, która pozwoli wykorzystać „duchowe moce” niemalże w ten sam sposób, w jaki wykorzystuje się energię elektryczną. Tego typu magiczne światy, które od dawna już zaludniają literaturę z gatunku Sci-Fi i fantasy, odzwierciedlają zarówno tęsknotę współczesnego człowieka za wyproszonym z

przestrzeni publicznej i z ludzkich serc Bogiem, jak też jego skłonność do powrotu do irracjonalnego, magicznego widzenia rzeczywistości. Czy jednak, jak zdaje się to sugerować *Awatar* Jamesa Camerona, zwrot ku magicznemu widzeniu rzeczywistości faktycznie zdoła ocalić biosferę i przywrócić ludziom pierwotną szlachetność, jest bardzo wątpliwe.

Kwiecień 2010

Ostatni lot

Trudno chyba o większy kontrast nastrojów i przeżyć, niż zderzenie radosnego wielkanocnego okrzyku "Alleluja!", które od Poranka Wielkanocnego rozbrzmiewało w liturgii i w sercach wierzących, z szokiem, jaki od sobotniego poranka 10. kwietnia 2010 r. stał się udziałem narodu polskiego. Katastrofa samolotu z parą prezydencką na pokładzie jest jak ciemna otchłań, która w jednym momencie pochłonęła wielu wybitnych polityków, wojskowych, ludzi kultury, a także czołowych przedstawicieli organizacji związanych z wydarzeniami w Katyniu sprzed siedemdziesięciu lat.

Jak to zwykle w takim momentach bywa, mnożą się dywagacje, czy zawiodła maszyna, której stan już od lat był opłakany, czy zawinił pilot, wykonując zbyt ryzykowne manewry, czy winna była pogoda, czy też był to po prostu fatalny zbieg okoliczności. Ale gdzieś tam pojawia się też pytanie o Boga, które staje się natarczywe nie tylko w obliczu tak, po ludzku sądząc, absurdalnej śmierci, ale także tego, że tragedia ta wydarzyła się w przeddzień Niedzieli Bożego Miłosierdzia. Nie należy się obawiać tego pytania o Boga, tak bardzo naturalnego w podobnych sytuacjach gwałtownej, przedwczesnej i, jak się wydaje, bardzo niesprawiedliwej śmierci. Na pytanie to nie ma łatwych odpowiedzi.

Czy jednak jedyną odpowiedzią jest rzeczywiście milczenie Boga? Człowiek wierzący szuka w takich sytuacjach światła w Bożym słowie. Ewangelia Niedzieli Bożego Miłosierdzia, w której przeddzień wydarzyła się smoleńska katastrofa, opowiada o ukazaniu się Chrystusa zmartwychwstałego osłupiałym apostołom, o ich niedowierzaniu, a nawet wyrażonej wprost niewierze Tomasza. Jeden szczegół tej Ewangelii rozbłyska jednak szczególnie jasnym światłem, które oświeśla tragiczną sytuację, jaka przeżywa Polska. Tym szczegółem są rany Chrystusa.

Zmartwychwstały Chrystus nie czyni swojej męki na Golgocie niebyłą, na tyle nieistotną, że nie pozostał po niej żaden ślad. Chrystus - Zwycięzca śmierci, zachowuje ślady swoich ran; one nie zostają unieważnione zmartwychwstaniem. To paradoksalne, ale jednocześnie wiele mówiące. Te rany Chrystusa mają zawsze przypominać, że zmartwychwstanie i nowe życie w Chrystusie nie stawia człowieka pod jakąś ochronną bańką. Życie w perspektywie zmartwychwstanie nie oznacza powierzchownej radości, która nie chce nic wiedzieć o trudzie, problemach i cierpieniu. Rany Chrystusa symbolizują drogę każdego wierzącego. Dotykają go takie same codzienne plagi, jakie stają się udziałem innych ludzi. Chrześcijanie chorują, cierpią, a czasem giną w tragicznych okolicznościach, jak to zdarzyło się w Smoleńsku. Ale jednocześnie te rany nie są tym, co dominujące i ostatecznie decydujące. Nosi je przecież Ten, który zwyciężył śmierć, który okazał się silniejszych od zadanych Mu ran. Cokolwiek bolesnego się wydarza, jakkolwiek wielkie może być ludzkie cierpienie, może ono zostać połączone, związane z tymi ranami Chrystusa, a wtedy wraz z nimi zostanie niejako "zabrane" ku zmartwychwstaniu. Chrystus nie unieważnia cierpienia, ale nadaje mu w swoim zmartwychwstaniu ostateczny sens. Dzięki nowemu życiu, jakie płynie z radosnej nowiny o zmartwychwstaniu Chrystusa, wszystko to, co niedokończone, co - po ludzku

sądząc - absurdalne i nonsensowne, wszystko co częściowe, może zostać dopełnione, może stać się elementem ostatecznej całości, która stanie się widoczna dopiero po drugiej stronie życia.

Po tej stronie życia propagowana jest inna logika, w której nie ma miejsca na to, co trudne i czemu brak zdrowia i urody. Media ukazują perfekcyjny świat: od nieskazitelnych garniturów i kostiumów, poprzez szkolone przez specjalistów gładkie wypowiedzi, aż po lśniące i wypolerowane karoserie najlepszych limuzyn. Wydarzenia 10 kwietnia 2010 r. boleśnie uzmysłowiły wszystkim, jak bardzo taki obraz świata i tego, co w nim ważne, jest sztuczny i kruchy. Jedna chwila może sprawić, że nieskazitelne garnitury i gładkie limuzyny staną się kupą szmat i złomu. Katastrofa smoleńska skłania jednak ku jeszcze innej refleksji, dotyczącej jakości życia politycznego w Polsce. Nie sposób nie odczuwać irytacji i żalu, gdy słyszy się pochwalne słowa dotyczące tragicznie zmarłego prezydenta z ust tych samych osób i mediów, które jeszcze niedawno prześcigały się w niesprawiedliwej, jednostronnej, czasami wręcz podłej nagonce na osobę Lecha Kaczyńskiego. Nierzadko nie była to rzeczowa krytyka poglądów politycznych, która zawsze jest nie tylko dopuszczalna, ale w demokratycznym dyskursie niezbędna, ale ośmieszające i szydercze uwagi na temat wzrostu czy też aparycji prezydenta, a nawet jego najbliższych. Można jedynie wyrazić nadzieję, że jego śmierć przyczyni się do docenienia jego wkładu w najnowszą historię Polski, począwszy od czasów studenckich i robotniczych protestów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sposób uprawiania polityki, nacechowany bezpardonową walką na każdym możliwym froncie, bez klasy, bez kultury, bez zasad, obliczony jedynie na mierzalny, natychmiastowy sukces, musi zostać ostatecznie uznany za haniebną i niezwykle szkodliwą dla Polski. Tłumy Polaków przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie i w wielu kościołach świadczą o głębokim wstrząsie o narodowych

rozmiarach. Oby Polacy znaleźli ponownie siłę, by spleść los narodu z losem Chrystusa. Tylko wtedy nawet najbardziej tragiczne wydarzenia nie pozostaną bezsensownym końcem, a staną się ostatecznym przejściem do życia, które się nie kończy. To, co się wydarzyło i te wszystkie tak sprzeczne doznania trzeba w duchu wiary włożyć w rany Chrystusa wraz z tym głębokim westchnieniem świętej siostry Faustyny, apostołki Bożego Miłosierdzia: Jezu, ufam Tobie.

Maj 2010

„Przerażenie i poczucie zdrady”

W czasie, gdy polska opinia publiczna żyła w cieniu smoleńskiej katastrofy, w szeregu krajów europejskich nasilił się gwałtowny atak na Kościół katolicki w związku z ujawnionymi przypadkami molestowania nieletnich przez katolickich księży. Już nie tylko Kościół w Stanach Zjednoczonych i Irlandii, ale także w Niemczech i Austrii musiał zmierzyć się z zarzutami o molestowanie dzieci i młodzieży przez księży - pedofilów. Przypadki molestowania zdarzały się w prowadzonych przez zakony i diecezje szkołach i internatach katolickich. Zarzuty dotyczą przy tym nie tylko samych sprawców, z których wielu przed wieloma laty opuściło stan duchowny, a niektórzy już nie żyją, ale także ich przełożonych, szczególnie biskupów. Dramatyczny list pasterski Benedykta XVI skierowany do katolików irlandzkich odzwierciedla wstrząs, jakiego doznał Kościół na całym świecie. Zwracając się do kapłanów, którzy dopuścili się molestowania nieletnich, papież używa bardzo dosadnych sformułowań: *Sprzeniewierzyliście zaufanie, [...], straciliście szacunek, [...], okryliście wstydem i hańbą swych współbraci. [...] Obok wielkiej straty, wyrządzonej ofiarom, wielka strata została też zadana Kościołowi oraz publicznemu postrzeganiu kapłaństwa i życia zakonnego. Z przestania papieskiego przebija gorycz,*

głębokie rozczarowanie, a nawet gniew, gdyż te haniebne czyny pojedynczych duchownych nie są w tym wypadku postrzegane jedynie jako grzechy jednostek, ale jako grzechy Kościoła, który też jako całość jest obwiniany o współodpowiedzialność.

Nie ulega wątpliwości, że ujawnione przestępstwa duchownych muszą skłonić do głębokiej refleksji na temat przyczyn tak drastycznych nadużyć, ale też funkcjonowania struktur kościelnych, gdyż to również one stoją w tym wypadku na cenzurowanym. Gdyby pojawiające się sygnały o molestowaniu zostały przez przełożonych wzięte poważnie pod uwagę a nie bagatelizowane i ukrywane, gdyby ich posunięcia były bardziej zdecydowane, a nie tylko powierzchowne, skala molestowania nieletnich w podległych Kościołowi placówkach wychowawczych byłaby zapewne znacznie mniejsza. Wina konkretnych osób nie ulega tu wątpliwości, nie ulega wątpliwości także to, że zabrakło instrumentów strukturalnych, które by skłaniały (a w niektórych przypadkach wręcz zmusiły) biskupów do podjęcia w porę zdecydowanych działań.

Wydaje się też, że przy całym wstrząsie, smutku, oburzeniu i gniewie, jaki musi odczuwać każdy, kto utożsamia się z Kościołem, ujawnienie tego zła może mieć oczyszczający wpływ nie tylko na Kościół, ale i na całe społeczeństwo. Gwałtowna reakcja społeczna mogłaby stać się początkiem moralnego przebudzenia i sprzeciwu nie tylko wobec molestowania nieletnich, ale generalnie wobec prymitywnego podejścia do sfery seksualnej. Mogłaby, gdyby nie fakt, że jak do tej pory doniesienia medialne koncentrują się na "pedofilach w sutannach", jakby tego typu przestępstwa popełniane były wyłącznie przez duchownych i były wręcz problemem Kościoła, zrodzonym z katolickiej koncepcji ludzkiej seksualności. Nawet jeżeli się odczuwa silną niechęć wobec teorii spiskowych, nie sposób postrzegać masowego ujawniania przypadków

molestowania dzieci przez duchownych w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat, z jednoczesnym skrupulatnym przemilczaniem całej skali tego zjawiska i jego rozprzestrzeniania w innych grupach społecznych, jedynie w kategoriach przypadku, bądź jako przejaw nagłego przebudzenia społecznej moralności.

Jak obłudne mogą być reakcje na ten bolesny problem i jak bardzo bywa on wykorzystywany do frontalnego ataku na Kościół, świadczy dyskusja tocząca się w Niemczech. Gdy jeden z niemieckich biskupów oświadczył, że część winy za tego typu przestępstwa ponosi tzw. "rewolucja seksualna", w wyniku której, poczynając od roku 1968, seks stał się towarem i przedmiotem użycia, jego słowa spotkały się z gwałtownym oburzeniem, szczególnie środowisk lewicowych i przedstawicieli Partii Zielonych. Słowa biskupa, grzmiały media, to bezprzykładne i oburzające szydzenie z ofiar skrzywdzonych przez Kościół. Zadziwiająco krótka jest jednak pamięć środowisk lewicowych w tej materii. To właśnie Partia Zielonych w Niemczech, a za nią frakcje lewicowe w niektórych niemieckich krajach związkowych, zapoczątkowały w 1985 r. akcję propagandową, zmierzającą do wykreślenia z niemieckiego kodeksu karnego kar za seks z nieletnimi. Zdaniem ówczesnych propagatorów zgłoszonej nawet do Bundestagu inicjatywy, dobrowolny seks z małoletnimi powinien być dozwolony, gdyż ograniczanie aktywności seksualnej jedynie do pewnej grupy wiekowej oznacza krępowanie swobodnego rozwoju osobowości [sic!], a jeżeli aktywność taka dla obu stron jest przyjemna, produktywna i sprzyjająca rozwojowi, czyli ogólnie pozytywna [sic!], to powinno się ją wyzwolić od jakichkolwiek prawnych ograniczeń. Oczywiście tego typu absurdałne deklaracje nie są w stanie usprawiedliwić nikogo, kto stał się winnym seksualnego molestowania nieletnich. Jednak to właśnie podobne kampanie medialne wpłynęły na zwiększenie społecznego przyzwolenia i tolerancji dla tych, którzy dążą do seksualnych kontaktów z nieletnimi.

Gdy próbuje się wskazywać na to, że pedofilia jest znacznie szerszym problemem i że katoliccy duchowni to jedynie niewielki procent sprawców tego rodzaju przestępstw, w odpowiedzi słyszy się zarzut, że Kościół próbuje w ten sposób uciec od odpowiedzialności. Czy jednak komuś, kto pragnie skoncentrować się jedynie na księżach-pedofilach autentycznie zależy na dobru dzieci, czy też chodzi jedynie o atak na Kościół? Takie podejście sprawia, że członkowie międzynarodowych siatek pedofilskich, działających w Internecie mogą spać spokojnie, gdyż cała uwaga społeczeństwa koncentruje się na potępianiu Kościoła katolickiego. Dlaczego w mediach nie podaje się pełnych danych, pokazujących liczbę skazanych pedofilów ze wskazaniem na sytuację i relacje (grupy zawodowe), sprzyjające tego rodzaju przestępstwom? Jeżeli rzeczywiście społeczeństwu tak bardzo zależy na ochronie dzieci - co byłoby niewątpliwie niezwykle pozytywnym sygnałem moralnej wrażliwości! - to pedofilia musi być zdecydowanie potępiona, niezależnie od tego, czy sprawcą jest katolicki ksiądz, czy też jest nim dyrygent renomowanego chóru, wybitny dziecięcy psycholog, światowa gwiazda muzyki pop, czy też znany reżyser filmowy.

Czerwiec 2010

Kim byłby dziś ksiądz Popiełuszko?

To dosyć zaskakujące pytanie, na które doprawdy trudno udzielić odpowiedzi, zważywszy, jak diametralnie różne po 1989 r. były losy ówczesnych opozycjonistów i jak zmieniały się oceny tamtych wydarzeń z perspektywy czasu, gdy zaczęto ujawniać ich kulisy. Gdyby jednak mimo wszystko chcieć się pokusić o odpowiedź, należałoby chyba wziąć pod uwagę dwie istotne sprawy. Z jednej strony istotne są centralne tematy, jakie

pojawiały się w kazaniach księdza Jerzego. Odsłaniają one, chociaż fragmentarycznie, to, co było ważne dla tego kapłana, którego Kościół wynosi do godności ołtarzy. Te centralne tematy to jednocześnie wartości, które były dla niego tak ważne, że gotów był dla nich zaryzykować - i w końcu oddać swoje młode życie. Z drugiej strony trzeba chyba uwzględnić charakterystyczne rysy jego osobowości, szczególnie jego reakcje w chwilach trudnych.

Do wiodących tematów, jakie podejmował ks. Jerzy należały: godność człowieka, prawda i wolność - i to właśnie w takiej kolejności. Każde z tych pojęć to jednocześnie jedno z "wielkich słów", centralnych wartości wiary chrześcijańskiej. Gdyby je chciał połączyć ze sobą w jedno motto, mogłoby ono brzmieć tak: *żyć godnie, to tak korzystać ze swojej wolności, aby nigdy nie zaprzedać prawdy*. Wszystkie trzy tematy pozostały aż do dzisiaj aktualne, chociaż w nowym kontekście wolnej Polski akcenty rozłożone są nieco inaczej, niż miało to miejsce w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Jeśli natomiast chodzi o osobowość ks. Popiełuszki, to jego siła charakteru była raczej zwrócona do wewnątrz i skoncentrowana na sprawach fundamentalnych, niż objawiająca się w zewnętrznych ofensywnych działaniach, skierowanych na głośne i spektakularne włączanie się w spory społeczno-polityczne. Był człowiekiem twardym, gdy przyszło znosić szykany i prześladowania, ale jednocześnie pełnym ciepła i łagodności w kontaktach z ludźmi. Nie słyszałem, żeby tropił szpiclów w swoim otoczeniu czy też wyklócał się z kimkolwiek za niesłuszne rewizje czy szkalowania w ówczesnej gazecie codziennej - "Trybunie Ludu" czy też na konferencjach prasowych ówczesnego rzecznika rządu, Jerzego Urbana. Dzisiaj widać, jak istotne dla niego i jego słuchaczy było ciągłe akcentowanie potrzeby pojednania i kończenie każdego kazania modlitwą za prześladowców.

Myślę, że ks. Jerzy, jak wielu innych, zachowałby wyczekującą postawę wobec wydarzeń, związanych z Okrągłym Stołem, jednak później zapewne stałby się zagorzałym obrońcą ludzi z Solidarności, którzy dla doraźnych korzyści politycznych zostali zmarginalizowani, odsunięci w cień, czasami byli ośmieszani i niesłusznie oskarżani. Byłby zapewne zwolennikiem lustracji i obrońcą niezależności IPN, jednak nie sądzę, by stał się typem "tropiciela", który zajmuje się ujawnianiem agentów i tajnych współpracowników. Być może to jego żarliwe umiłowanie prawdy, a jednocześnie pełne dobra i ciepła odniesienie do drugich i pragnienie pojednania pozwoliłyby znaleźć lepszą drogę do rozliczenia z przeszłością tych, którzy ze strachu lub dla doraźnych korzyści dopuścili się zdrady i wyrządzili krzywdę innym.

Czy stałby się typem "polityka w sutannie"? Raczej chyba pozostałby mentorem i doradcą, a jednocześnie kimś, kto mocno angażuje się w głęboką rozumianą i społecznie otwartą aktywność duszpasterską. Sądzę, że w swojej działalności zaangażowałby się na pewno w dwie sprawy: kwestię handlu w niedzielę oraz kwestię zapłodnienia in vitro. Obydwie te sprawy mocno uderzają w ludzką godność i dotyczą ludzi słabych, nie posiadających swojego lobby, którzy łatwo stają się ofiarami struktur ukierunkowanych wyłącznie na zysk i gotowych deptać godność człowieka. Na pewno też krytycznie odnosiłby się do unijnych prób "ujednoczenia standardów etycznych", co oznacza nacisk na kraje, których prawodawstwo ogranicza aborcję i dostęp do in vitro oraz nie zezwala na uprzywilejowanie związków homoseksualnych. Pewnie szukałby także dróg do przepowiadania Ewangelii za pomocą współczesnych mediów. Może byłby jednym z inicjatorów prasy i radia o jasno określonym katolickim profilu?

Był to niewątpliwie "człowiek z misją", który był trawiony przez wewnętrzny ogień - takie Pawłowe "biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii!" (1

Kor 9, 16). Ale nie był typem show-mastera, który potrafi swoją silną osobowością przysłonić treści, które głosi. Można zadać pytanie, czy taka w sumie skromna postać byłaby zauważona w nowej, wielobarwnej, niemalże pstrej rzeczywistości medialnej? W czasach, w których działał, wystarczały słowa prawdziwe, nawet wypowiedane cicho, niemalże nieśmiało. Czy byłby słuchany dzisiaj, gdy często to, *jak* mówisz jest co najmniej tak istotne (a czasami istotniejsze!) od tego, *co* mówisz? Myślę, że ks. Jerzy zaskoczyłby nas, tworząc sobą i swoimi wystąpieniami oryginalny typ postaci medialnej, którego dzisiaj brakuje: spokojnego mentora, który właśnie ze względu na swój sposób mówienia o sprawach ważnych jest uważnie słuchany, nawet, jeżeli na tle innych dyskutantów, szkolonych przez najlepszych PR-owców, wypada blado.

Ciekawe, że gdy dzisiaj padają pytania o to, co wtedy w tym drobnym człowieku okazało się tak wyjątkowe i spotkało się z tak żywym oddźwiękiem społecznym, trudno wskazać na coś niezwykłego. Ks. Jerzy był po prostu pobożnym katolickim księdzem, który żarliwie się modli, czyta Ewangelię, stara się zgodnie z nią żyć w szarej codzienności. Ale czyż nie na tym właśnie polega świętość, że człowiek - jak to powiedział jeden z poetów - stara się pogodnie i pokornie rosnąć właśnie w tym miejscu, w którym go Bóg posadził? Właśnie dlatego uroczystości beatyfikacji i kanonizacji mają tak wielkie znaczenie, szczególnie, gdy za błogosławioną zostaje uznana osoba, którą wielu współcześnie żyjących znało i której wewnętrzny świat jest im tak bliski. Czasy są wprawdzie inne, niż te, w których przyszło żyć i umierać księdzu Jerzemu. Ale wartości ewangeliczne: godność człowieka, prawda i autentyczna wolność, pozostają niezmiennie wartościami, dla których warto żyć i umierać. Byleby tylko starczyło nam "Bożego żaru", który napełniał serce bohaterskiego księdza z Okopów koło Suchowoli.

Lipiec 2010

"Nie lubię, gdy księża mówią o polityce"

Przyspieszone wybory prezydenckie sprawiają, że częściej pojawiają się emocjonalne wypowiedzi wokół udziału w aktywnej polityce. Wraca również pytanie o miejsce Kościoła w kształtowaniu życia politycznego. Wydaje się, że ogromna większość Polaków, w tym także wierzących, z wielkim niesmakiem odnosi się do przypadków agitacji politycznej z ambony, zbyt rozpolitykowanych kaznodziejów, czy też nakazywania w imię wiary głosowania na konkretną partię. Ziarnem prawdy, jakie tkwi w tych spontanicznych reakcjach, jest uzasadniony sprzeciw wobec aktywnego zaangażowania duchowieństwa w politykę, zwłaszcza gdy towarzyszy temu tak dalece idące utożsamienie postawy chrześcijańskiej z konkretną partią polityczną, że jej wybór zostaje podniesiony do rangi płynącego z wiary imperatywu. Tego typu sytuacje stanowią jednak wąski margines, piętnowany zresztą przez odpowiedzialnych Kościoła. Kary suspensy nałożone przez Stolicę Apostolską na duchownych latynoamerykańskich, którzy włączyli się w czynną politykę, są tego najlepszym przykładem.

Czy jednak oznacza to, że polityka to obszar "neutralny", nie mający wiele wspólnego z wiarą? Taka deklaracja zadowoliłaby zapewne wiele europejskich elit politycznych, które lansują pogląd, że wiara jest sprawą wyłącznie prywatną, która nie powinna mieć wpływu na wybory polityczne. Dotyczy to nie tylko oddziaływania Kościoła jako organizacji oraz jego hierarchów na życie polityczne, ale także preferencji politycznych obywateli. Celem takiego poglądu jest całkowita "neutralizacja" przestrzeni publicznej, eliminacja z niej elementów religijnych. Wprowadzany w niektórych krajach zakaz wieszania krzyży w przestrzeni publicznej, a nawet eliminacja symboli

związanych ze świętami religijnymi (np. wystaw bożonarodzeniowych) z witryn sklepowych, jest przykładem praktycznej implementacji takiego poglądu.

Chrześcijanie nie powinni jednak pod żadnym pozorem zaakceptować tej roli, jaką przewiduje dla nich społeczeństwo liberalne, jeżeli nie chcą kiedyś znaleźć się w sytuacji, gdy będą zmuszeni w przestrzeni publicznej udawać niewierzących, by nie urazić czyichś uczuć religijnych. Koncepcja religii ograniczonej jedynie do sfery duchowej, nie mającej wpływu na życie i codzienne wybory, nie jest koncepcją chrześcijańską. Wiara w Chrystusa w zupełnie naturalny sposób prowadzi do współkształtowania świata - na miarę powierzonej odpowiedzialności, ale też według reguł demokratycznej gry politycznej i z zachowaniem szacunku dla inaczej myślących.

Tak jak księża nie powinni nadużywać ambony do agitacji politycznej, tak też każdy ochrzczony powinien bardzo *uważnie* i *odważnie* dokonywać wyborów politycznych, starając się, by nie kłóciły się one z wyznawanymi zasadami. Wybór kandydata, którego program wyborczy i praktyka życiowa stoi najbliższej Ewangelii jest znakiem poważnego traktowania wiary. Chrześcijanin nie robi tu niczego nadzwyczajnego czy niegodziwego - po prostu postępuje dokładnie tak, jak postępują inaczej wierzący i niewierzący. Oni również głosują na tych, których poglądy i życiową filozofię podzielają. Przestrzeń publiczna nigdy nie jest światopoglądowo neutralna. Jeżeli Bóg i wartości religijne zostaną z niej wyrugowane, ich miejsce zajmą wartości laickie, a brak Boga będzie po prostu równoznaczny z praktycznym ateizmem. Podobnie jak zwolennicy laickiej etyki i światopoglądu ateistycznego, tak i chrześcijanie powinni mieć prawo do współkształtowania sfery politycznej, która nie może zostać zawłaszczona przez przeciwników religii pod pozorem neutralności światopoglądowej.

Gdy obserwuje się współczesne życie polityczne i społeczne w Europie, można dostrzec lęk chrześcijan przed wyrażaniem swoich politycznych opcji. Na taką bardzo defensywną i wycofaną postawę ma wpływ kilka czynników. Z jednej strony jest to ogólne przekonanie o niemocy pojedynczego obywatela, który rzekomo nie ma wpływu na to, co dzieje się w polityce. Idzie ono w parze z uprzedzeniami i bardzo negatywnym obrazem polityków jako klasy oszukującej i wykorzystującej społeczeństwo. Z drugiej strony winę za lękliwość polityczną chrześcijan ponoszą ich własne kompleksy, obawa przed etykietką konserwatyzmu, zaściankowości, "buractwa". Jeżeli chrześcijanie ulegają perswazji i zaczynają wierzyć w to, że wiara chrześcijańska prowadzi do staroświeckiej, nudnej i tłamszącej radość życia postawy życiowej, trudno jest im aktywnie i ofensywnie promować ją w ramach politycznych programów.

Wybory prezydenckie to dla polskich katolików sprawdzian ze świadomej i żywej wiary, wyzwolonej z uprzedzeń i kompleksów, która nie boi się decyzji mających znaczenie polityczne. Trzeba jeszcze raz odważnie i głośno zapytać: dlaczego mielibyśmy zamykać siebie samych w zakrystii i pozostawiać przestrzeń publiczną ludziom, dla których nasze płynące z wiary wartości nie stanowią punktu odniesienia? Właśnie dzięki demokratycznym strukturom życia politycznego wolno nam współkształtować przestrzeń społeczną według naszych wyobrażeń w przekonaniu, że dopiero jej ewangeliczny kształt jest w pełni ludzki, promujący i chroniący każdą osobę ludzką. Najlepsza rada na każde wybory: zdystansuj się od świadomości, że jesteś jednym z wielu milionów i że twój głos i tak utonie w morzu innych głosów; głosuj tak, jakby to twój głos miał przeważać szalę zwycięstwa na korzyść jednego z kandydatów bądź też partii.

Sierpień 2010

Napić się światła

Czas wakacji sprzyja wyprawom także tym szczególnym, jakimi są pielgrzymki. Choć pielgrzymowanie wiąże się z wieloma doznaniem niekoniecznie religijnymi - i tak też często bywa przeżywane przez pielgrzymujących - ma ono głęboki religijny sens. Gdy Jezus został zapytany przez uczniów: "Panie, gdzie mieszkasz?", odpowiedział: "Chodźcie a zobaczycie" (por. J 1, 38-39). Ten ewangeliczny epizod w bardzo skondensowany sposób przekazuje podstawową prawdę autentycznego doświadczenia religijnego. Jest to doświadczenie, które może się dokonać jedynie "w drodze". Jezusowe "Chodźcie!" stanowi zaproszenie do wyruszenia w duchową drogę, bo właśnie w drodze, a nie w postaci suchej teorii czy w czasie jednorazowego wykładu można doświadczyć, co znaczy wiara. Symbolem, znakiem, żywym obrazem tej duchowej drogi wiary jest każda droga pielgrzymkowa. Wszystkie pielgrzymki mają pewne wspólne cechy, jednak wśród wielu dróg jest jedna wyjątkowa, jaką jest droga do Santiago de Compostela w Hiszpanii. Już sam fakt, że ta pielgrzymka określana jest zazwyczaj po prostu słowem *Camino* (droga), jest znamieny. Obok pielgrzymek do Jerozolimy i do Rzymu, droga do Santiago należy do najstarszych szlaków pielgrzymich chrześcijaństwa i dzięki temu stała się swego rodzaju miarą tego, co znaczy pielgrzymować.

Tkwi coś szczególnego w tej drodze, a raczej całym szeregu dróg wiodących do Santiago. Jeżeli tylko weźmie się na siebie los prawdziwego pielgrzyma, który przez kilka tygodni podąża pieszo szlakiem stylizowanych muszli i żółtych strzałek, niosąc swój dobytek w plecaku, śpiąc w zbiorowych salach w pielgrzymich schroniskach, piorąc codziennie swoje przepocone

ubrania, gotując samemu skromne posiłki w przyschroniskowych kuchniach, można uchylić rąbka tajemnicy tej drogi. Jednak z odpowiedzią na pytanie, czy droga do Santiago jest drogą chrześcijańskiego nawrócenia, nie należy się zbyt spieszyć. Pielgrzymi kierują się bardzo różnymi motywacjami. Dla jednych jest to przede wszystkim przeżycie wyczynowo sportowe, inni pragną poznać nowych ludzi, jeszcze inni czują się pociągnięci tajemniczym duchowym klimatem obecnym w opowieściach w rodzaju *Pielgrzyma* Paulo Coelho lub pragną uciec od teraźniejszości i symbolicznie odgrodzić się kilkutygodniową absencją od traumatycznej przeszłości. Głębokie przeżycie *Camino* nie staje się od razu i w oczywisty sposób być przeżyciem religijnym. Człowiek uświadamia to sobie, spotykając na szlaku ludzi niewierzących, a nierzadko nawet nie ochrzczonych. Droga do Santiago to najpierw dotknięcie własnych i cudzych ograniczeń, co jest zazwyczaj przeżyciem głęboko rozczarowującym. Zostaje ono wymuszone przez ograniczenia związane z wagą plecaka oraz własnymi i cudzymi fizycznymi i psychicznymi możliwościami. Zmęczenie, zniecierpliwienie, dosłowne wydanie na pastwę własnych myśli, niepokojów, uprzedzeń, nie załatwionych problemów, bardzo szybko ujawnia się w zachowaniach, reakcjach, słowach. Odziera ze złudzeń, boleśnie kalecząc własne poczucie wartości, ale także utarte opinie o innych, z którymi człowiek wyruszył w drogę, a którzy nagle jawią się jako ludzie mali, obarczeni słabościami i wadami, skoncentrowani na sobie. Ale właśnie to rozczarowujące doświadczenie jest niezbędne, by zrobić miejsce dla czegoś znacznie głębszego. Jeżeli człowiek tylko znajdzie odwagę, by przyjąć to ogałające doświadczenie, pojawia się wraz z upływem dni pielgrzymowania jakby drugi, głęboki nurt, pozwalający włączyć się w ten sam duchowy rytym, jaki od stuleci ogarniał tu serca pielgrzymów. Człowiek idzie ciężarny podstawowymi pytaniami, jakie zazwyczaj zostają wypchnięte do podświadomości, wydają się już być

rozwiązane, albo też nie mają szans się przebić przez codzienne troski, zajęcia, prace i rozrywki. Są to pytania o Boga, o sens życia, o własną drogę, o wygrane i przegrane momenty życia... Długość pielgrzymki i fakt, że nawet wyruszając w grupie, większość trasy pokonuje się samemu, sprawiają, że nie trzeba i nie można na te pytania odpowiedzieć natychmiast. Wcale to jednak nie ułatwia zadania, a sprawia jedynie, że mają one wiele czasu, by na dobre rozgościć się w świadomości i stać się przez to jeszcze bardziej natarczywe.

Dlatego mimo tylu różnych motywacji, żaden pielgrzym tak naprawdę nie jest w stanie uciec od świadomości, że droga do Santiago naznaczona jest Chrystusowym światłem. Jest to prawdziwy "światlisty szlak", przepełniony potem, łzami i szeptami modlitw dziesiątków tysięcy wierzących w Boga. Do doświadczenia *Camino* w szczególny sposób można odnieść wypowiedź św. Ignacego z Antiochii, który prosił, by pozwolono mu napić się światła, gdyż jedynie wtedy stanie się w pełni człowiekiem. Chrystusowe światło jest obecne na *Camino* bardzo dyskretnie i tylko szczególne momenty pozwalają przeczuwać błogosławieństwo tej drogi. Gdy wita się świt w marszu, gdy z rozświetlanego latarką mroku nocy wyłania się powoli ścieżka i kształty rzeczy, a potem na horyzoncie pojawia się pierwszy promień słońca, człowiek czuje się w bardzo dosłowny sposób zaproszony do "picia światła". Może właśnie dlatego *Camino de Santiago* przeżywa dziś prawdziwy renesans, szczególnie w sceptycznych społeczeństwach, które należy już określać jako post-chrześcijańskie.

Fascynacji *Camino* nie umniejsza nawet to, że gdy po miesiącu marszu człowiek staje na placu przed katedrą w Santiago, co zazwyczaj powiązane jest z eksplozją radości, dumy i głębokiego wzruszenia, zaczyna jednocześnie rozumieć, że nie odpowiedział ostatecznie na żadne z postawionych pytań i trzeba je po raz kolejny odłożyć na przyszłość, może na następne *Camino*? A

jednak nie można oprzeć się wrażeniu, że coś ważnego się dokonało. Droga przez kilka tygodni rzeźbiła ludzkie serce. Codzienne "picie światła" - jeżeli tylko człowiek zdołał otworzyć serce na Bożą obecność - nie pozostanie bez śladu, jak nie pozostało ono bez śladu w sercach setek tysięcy anonimowych poprzedników, którzy przemierzali te same ścieżki w ciągu wieków. Pozostaje przeczucie i głębokie przekonanie, że łaska *Camino* przemieniła serce. Choćby tylko odrobinę, by wystarczyło na następny etap życia...

Wrzesień 2010

Krzyż - znak sprzeciwu

Wydarzenia ostatnich tygodni pod Pałacem Prezydenckim w Warszawie poruszyły polskie społeczeństwo bardziej, niż można było oczekiwać. Wielu Polaków jest zdania, że krzyż powinien być przeniesiony do kościoła św. Anny, by był śladem i wspomnieniem narodowej żałoby, tego wielkiego duchowego poruszenia po katastrofie smoleńskiej. Nie ulega wątpliwości, że tak właśnie powinno się stać. Jednak to stwierdzenie nie oddaje całej prawdy o wydarzeniach na Krakowskim Przedmieściu. Chociaż po stronie obrońców krzyża pojawiała się chwilami niezdrowa egzaltacja i religijne zaciętrzewienie, przypisywanie wyłącznie im winy za eskalację konfliktu, byłoby wielką niesprawiedliwością. Krzyż, który jest znakiem miłości nie cofającej się przed niczym, stał się znakiem sprzeciwu wobec prób zamazywania prawdy o przyczynach katastrofy oraz zminimalizowania, a nawet wymazania narodowego poruszenia serc, jakie wywołała śmierć pary prezydenckiej i wielu innych wybitnych osobistości polskiego życia politycznego.

Nawet ci, którzy bezpośrednio po katastrofie prezydenckiego samolotu przestrzegali przed ferowaniem zbyt pośpiesznych wyroków i konstruowaniem

teorii spiskowych, muszą przyznać, że proces wyjaśnienia przyczyn tej katastrofy zakrawa na międzynarodowy skandal. Blokowanie dostępu strony polskiej do kluczowych dowodów, jakimi są m.in. wrak maszyny oraz czarne skrzynki oraz zdawkowe odpowiedzi na kluczowe pytania, wzmagają jedynie podejrzenia, że mamy tu do czynienia z celowym (re)tuszowaniem prawdy. Dodatkową skandaliczną okolicznością jest pasywność polskich władz, połączona z zapewnieniami, że współpraca ze stroną rosyjską układa się harmonijnie. Jeżeli w takiej atmosferze rządzący publicznie wypowiadają się z niechęcią i dystansem do propozycji upamiętnienia ofiar katastrofy pomnikiem na Krakowskim Przedmieściu, trudno się dziwić, że po drugiej stronie dochodzi do emocjonalnych reakcji. Ustawiony przez harcerzy w dniach żałoby narodowej krzyż stał się w ten sposób symbolem obrony pamięci ofiar katastrofy, a próba jego przeniesienia urosła do rangi zdrady tej pamięci i kapitulacji wobec prób jej wymazania i zmarginalizowania. W ten sposób symbol miłości Chrystusowej został wprowadzony niejako w nowy kontekst, stając się swoistą kartą przetargową w sporze, który - choć bezpośrednio nie dotyczy wiary - stał się sporem światopoglądowym. Wbrew zamiarom obrońców krzyża powstała platforma, na której mogli się bardzo wyraziście zaprezentować lewicowi działacze ze swoją propozycją ateizacji przestrzeni publicznej. Trudno bowiem inaczej określić ferowane przez nich propozycje usunięcia krzyża nie tylko z Krakowskiego Przedmieścia, ale generalnie z przestrzeni publicznej, gdyż jego obecność narusza rzekomo neutralność światopoglądową państwa. Taka wizja świeckiego państwa nie zmierza jednak wcale do neutralności, która przecież polega na tym, że żadna religia (lub jej brak) nie jest usankcjonowana jako dominująca, a jednocześnie wyznawcy każdej opcji religijnej mogą swobodnie wyznawać i praktykować swoją wiarę, o ile nie naruszają podstawowych praw osoby ludzkiej. Lewicowa wizja

świeckiego państwa, ofensywnie lansowana w kontekście sporu o smoleński krzyż, prowadzi do tego, że wierzący zostaliby zmuszeni do udawania niewiary w przestrzeni publicznej oraz podlegaliby zakazowi odwoływania się do przekonań z nią związanych. Wobec takiej ponownej (po rewolucyjno-francuskiej i sowieckiej) programowej ateizacji państwa, społeczeństwa i kultury ludzie wierzący muszą zdecydowanie i głośno protestować.

Tym, co w kontekście wydarzeń na Krakowskim Przedmieściu wywołało największy wstrząs, nie były jednak polityczne przepychanki czy nawet najbardziej emocjonalne dyskusje, ale brutalna agresja, z jaką zostali zaatakowani obrońcy krzyża. To już nie był spór światopoglądowy, to była otwarta werbalna, a nawet fizyczna przemoc, publiczne szydzenie ze znaku wiary, który dla wielu milionów katolików jest świętym znakiem. Skonstruowany z puszek po piwie krzyż, pluszowy miś zawieszony na krzyżu, młodzi, pijani ludzie, przeklinający, szydzący, ostentacyjnie sikający w bezpośredniej bliskości krzyża, to znak zdziczenia, prymitywizmu i tępej głupoty. Czy mieliśmy tu do czynienia jedynie z wybrykiem prymitywnych bywalców stołecznych dyskotek? A może był to pierwszy, bardzo niepokojący sygnał, że w Polsce rośnie agresywny potencjał antyklerykalny i antykościelny, nie cofający się przed niczym i gotowy na walkę wszelkimi metodami z każdym przejawem wiary? Wobec tego wybuchu otwartej wrogości wobec Kościoła katolickiego i symboli religijnych, w najbliższym czasie można się spodziewać nowej ofensywy propagandowo-politycznej, której celem będzie radykalne wyrugowania religii z przestrzeni publicznej.

Czy zatem wobec tego wierzący nie powinni tym bardziej stanąć w obronie krzyża jako znaku zbawienia? Niewątpliwie właśnie taka powinna być odpowiedź na próby ateizacji Polski! Nie musi to jednak oznaczać, że nie należy przenieść krzyża z Krakowskiego Przedmieścia do kościoła św. Anny. Wręcz

przeciwnie: ten znak szczególnych chwil narodowej żałoby powinien znaleźć swoje miejsce w zacnej warszawskiej świątyni. Jego przeniesienie nie musi wcale oznaczać kapitulacji wobec prób marginalizacji roli tragicznie zmarłego Prezydenta, tuszowania kulisów katastrofy smoleńskiej i laicyzacji życia publicznego. Raczej byłoby ono wyrazem ochrony świętego znaku wiary, aby nie dawać współczesnym poganom okazji do szydzenia Zbawicielowi. Napomnienie Chrystusa nabiera w tym kontekście szczególnego znaczenia: "Nie rzucajcie swoich pereł przed wieprze, aby was nie podeptały nogami, a rzuciwszy się, was nie rozszarpały" (Mt 7, 6).

Październik 2010

Sumienie na cenzurowanym

Debata, jaka odbyła się 7 października 2010 w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy powinna dać do myślenia każdemu, dla kogo wolność sumienia stanowi fundamentalną wartość współżycia społecznego. Przedmiotem sporu był projekt rezolucji, który miał wyrażać zaniepokojenie faktem, że wielu lekarzy i farmaceutów odmawia wykonywania niektórych świadczeń zabiegów (np. aborcji), powołując się klauzulę sumienia. W projekcie miała się znaleźć rekomendacja, by kraje członkowskie ograniczyły rzekome nadużywanie klauzuli sumienia, a lekarz powołujący się na nią miał obowiązek wskazać innego lekarza, gotowego do wykonania świadczenia. Klauzula sumienia nie mogłaby też dotyczyć instytucji, a jedynie pojedynczych osób. Trudno nie dostrzec, że ta inicjatywa była kolejną próbą ograniczenia wolności sumienia w przestrzeni publicznej. Jest to tym bardziej zdumiewające, że próba ta miała miejsce na forum szacownej instytucji europejskiej, szczycącej się ideałami tolerancji i autonomii jednostki.

Do niedawna o rozumienie sumienia spierali się jedynie etycy, może jeszcze psychologowie. Dla szeregowego Europejczyka sprawa była jednak jasna: pojęcie to jest jednym z "Wielkich Słów" współczesnej cywilizacji. Oznacza ono z jednej strony ludzką zdolność działania moralnego oraz nierozzerwalnie z nią związaną osobistą odpowiedzialność za własne postępowanie, z drugiej zaś wskazuje na nieprzekraczalną granicę, której nie wolno przełamywać z zewnątrz. W ostatnich dziesięcioleciach mamy jednak do czynienia z głęboką zmianą w pojmowaniu sumienia. Jednym z jej niewątpliwie problematycznych przejawów jest używanie tego pojęcia w kontekście usprawiedliwienia postaw skrajnie indywidualistycznych. Powoływanie się na nakaz własnego sumienia ma je legitymizować w oczach opinii publicznej i wykluczać jakąkolwiek możliwość pociągnięcia do odpowiedzialności. Mimo tych możliwych nadużyć nie sposób nie dostrzec, że ustalenia prawne, gwarantujące wolność sumienia, szczególnie w obszarze przekonań religijnych, należą do niezwykle istotnych zdobyczy państwa prawa. Oczywiście, porządek prawny, chroniący wolność sumienia ma rację bytu jedynie wtedy, jeżeli wolność ta ze swej strony respektuje godność i podstawowe prawa innych ludzi oraz fundamentalne wartości współżycia społecznego.

Wydawać by się mogło, że współczesna Europa, tak bardzo wyczulona na sprawy autonomii i promocji jednostki, bezdyskusyjnie zagwarantuje wysokie standardy ochrony wolności sumienia. Obserwujemy jednak tendencję zupełnie odwrotną. Debata na forum Rady Europy nie jest odosobnionym incydentem, ale symptomem bardzo niepokojącej tendencji do ograniczania wolności sumienia osób czynnych w szeroko rozumianej służbie publicznej: lekarzy, prawników, pracowników administracji. Nie mamy oczywiście do czynienia z prostą negacją wolności sumienia, ale z próbą wymuszenia głębokiej zmiany postaw poprzez redefinicję fundamentalnych pojęć prawno-etycznych, takich

jak np.: godność ludzka, prawa człowieka, tolerancja. Pojęcie *godności ludzkiej*, które do tej pory obejmowało każdego człowieka, niezależnie od wieku, stanu zdrowia, statusu społecznego itp., bywa często zawężane i odnosi się już tylko do autonomicznie (tzn. świadomie i odpowiedzialnie) działających osób ludzkich. W stosunku do ludzi, którzy jeszcze nie wykazują osobowych zdolności (nienarodzeni) lub je nieodwołalnie utracili (głęboko upośledzeni, umierający) podjęcie godności ludzkiej odnosi się jedynie w sensie analogicznym. Wysoka ranga godności autonomicznych osób ludzkich przekłada się na powinność szacunku dla ich indywidualnych życiowych projektów. Wiele z nich osiągnęło dziś rangę *praw człowieka*. Pojęcie to, obejmujące do tej pory jedynie ochronę fundamentalnych wartości i dóbr osobowych, stało się pojęciem wyrażającym uprawnienie do szczególnych świadczeń w obszarze indywidualnego życiowego projektu. Szczególnie jaskrawo jest to widoczne w obszarze tzw. "praw reprodukcyjnych" czy też "zdrowia reprodukcyjnego". Do rangi praw człowieka próbuje się tu podnieść zarówno prawo do legalnej i powszechnie dostępnej aborcji, jak też do zabiegów zapłodnienia in vitro, które - wraz ze środkami antykoncepcyjnymi - mają też być refundowane ze środków budżetowych oraz pochodzących z ubezpieczeń zdrowotnych. Skoro mamy tu do czynienia z "prawami człowieka", to za jedyną etycznie poprawną postawę wobec nich musi zostać uznana postawa *tolerancji*. Nie oznacza ona już jednak jedynie szacunku, czy przyzwolenia na swobodną realizację każdego życiowego projektu, ale jest równoznaczna z roszczeniem wobec państwa: ma się wyrażać w tworzeniu odpowiednich ram prawnych, nie tylko piętnujących, ale wręcz penalizujących zewnętrzną krytykę, a także umożliwiających dostęp do społecznych i finansowych resursów. Odmowa spełnienia tych żądań oznaczałaby przecież zamach na prawa człowieka, na co żadne współczesne demokratyczne państwo nie może sobie pozwolić.

Taka przebudowa świadomości etycznej społeczeństw Europy oznaczałaby duchową katastrofę, szczególnie dotkliwą dla katolików. Byłaby bowiem w dalszej perspektywie równoznaczna z zamknięciem katolickich szpitali czy aptek oraz z poważnym utrudnieniem (jeżeli nie uniemożliwieniem) dostępu katolików do wielu specjalności medycznych. Katolicy nie powinni lekceważyć tego zagrożenia i wyraźnie artykułować swój sprzeciw. Czyniąc to, oddadzą niezwykle istotną przysługę całej europejskiej społeczności narodów, bronią bowiem nie tylko swojej moralnej suwerenności i wolności, ale także swobód obywatelskich przed totalitarnymi zapędami europejskich instytucji, które (paradoksalnie!) zostały powołane do tego, by tych swobód strzec.

Listopad 2010

Sagrada Familia

Zazwyczaj monumentalne katedry kojarzą się z sakralną architekturą średniowiecza czy renesansu oraz z centrami europejskich metropolii, gdzie zazwyczaj można je podziwiać. Fakt, że obok tych wspaniałych dawnych budowli z Kolonii, Wiednia, czy Santiago de Compostela, na początku XXI w. zostaje konsekrowana nowa monumentalna świątynia, jest godny zauważenia. Jak miał stwierdzić sam twórca Sagrada Familia w Barcelonie, Antoni Gaudi, nie należy jej postrzegać jako ostatniej z dawnych katedr, ale raczej jako pierwszą z nowych. Jej uroczysta konsekracja, która miała miejsce 7. listopada 2010, spotkała się z tak wielkim zainteresowaniem opinii publicznej nie tylko ze względu na osobę dostojnego konsekratora, papieża Benedykt XVI. To, że w samym sercu nowoczesnego katalońskiego miasta, będącego jednym z centrów kulturowych laickiego kraju, wyrastają w niebo iglice katolickiej świątyni, jest znakiem, który daje do myślenia.

Wszystkie dzieła architektoniczne, jakie stworzył Antoni Gaudi, zachwycają swoją niezwykłą urodą i unikalną strukturą. Chociaż wyraźnie widać w nich nawiązanie do klasycznej estetyki, nie można jednocześnie oprzeć się wrażeniu, że człowiek styka się z budowlami na wskroś nowoczesnymi. Sagrada Familia jest jednak wśród nich bez wątpienia dziełem wyjątkowym. Jest, jak w swojej homilii wygłoszonej w czasie Mszy konsekracyjnej powiedział Benedykt XVI, wspaniałą syntezą techniki, sztuki i wiary. Taką też miała być w zamyśle swojego twórcy, który widział w tym dziele nie tylko szczytowe osiągnięcie swojej twórczości, ale konstruując je, czuł się, jak się wydaje, wyrazicielem tradycji swojego chrześcijańskiego narodu i postawy swoich rodaków wobec wiary i tradycji. Zgodnie z przypominanymi przez Benedykta XVI. słowami Gaudiego, jedynie budowla sakralna -kościół jest w stanie godnie reprezentować ducha narodu, gdyż religia jest czymś najbardziej wzniosłym w człowieku. W ten sposób Sagrada Familia stała się dojrzałym owocem i symbolem wiary Katalończyków, spośród których wyszło ostatnim stuleciu wielu świętych, założycieli wspólnot zakonnych, a nawet męczenników.

Współczesna Katalonia, a wraz z nią cała Hiszpania, nie jest już wprawdzie tą samą kuźnią wiary, jaką była sto lat temu. Zeświecczenie życia publicznego, którego widocznymi znakami jest ustawodawstwo zrównujące związki jednopłciowe z prawnym statusem małżeństw, liberalizacja aborcji oraz otwarta walka z nauką religii w szkołach, nabrało w ostatnich latach w Hiszpanii gwałtownego tempa, agresywnie promowane przez rządzących. Myliłby się jednak ten, kto chciałby postrzegać współczesnych Hiszpanów jako naród zdystansowany, a nawet wrogi wobec katolickiej wiary, a szczególnie wobec jej widzialnego znaku - katolickiego Kościoła. To właśnie w tym tak bardzo zlaicyzowanym kraju na demonstracji na rzecz obrony życia w sercu Madrytu potrafi się zebrać milion ludzi. To właśnie Hiszpania jest nie tylko kolebką takich

nowoczesnych ruchów katolickich jak neokatechumenat, ale także miejscem, w którym żyją, gromadzą się najliczniejsze wspólnoty pielęgnujące świadome życie wiary. Monumentalna sakralna przestrzeń, stworzona w samym centrum z pozoru zupełnie zeświecczonego społeczeństwa, nie może więc być postrzegane jedynie jako nostalgiczny symbol świetlanej przeszłości. Naprzeciw silnych tendencji laicyzacyjnych, wymierzonych szczególnie w trwałość i stabilność rodziny rozumianej jako wyłączny związek mężczyzny i kobiety, staje Sagrada Familia - Jezus, Maryja i Józef. Jakby w proroczej wizji przyszłości Gaudi wybrał właśnie Świętą Rodzinę na patronkę budowanej przez siebie świątyni. To wezwanie, które w początkach XX wieku miało zupełnie inny wydźwięk, brzmi we współczesnej Hiszpanii niemal jak prowokacja. Wolę troski o rodzinę wyraził z całym spokojem i zdecydowaniem w swej homilii Benedykt XVI. Jak podkreślił, nawet wobec tak zmasowanego naporu tendencji niwelujących świętość rodziny, Kościół nie przestanie się domagać od rządzących tworzenia ustawodawstwa wspierającego rodziców w ich zadaniach wychowawczych oraz umożliwiającego matkom realizację swojego powołania, zarówno w miejscu pracy, jak i w domu. Kościół zawsze będzie bronił życia istot ludzkich od poczęcia i opowiadał się konsekwentnie za naturalnym porządkiem życia małżeńskiego i rodzinnego.

Zamysł Gaudiego, który tworzył swój projekt w zupełnie odmiennych warunkach społeczno-kulturowych, nabrał w nowych warunkach niezwyklej aktualności jeszcze pod innym względem. Wielu, zarówno Hiszpanów jako i obcokrajowców, którzy będą zwiedzać tę świątynię to współcześni religijni analfabeci, którym dostrzeżenie i przeżycie sacrum sprawia niemałe trudności, którzy, jak to o sobie powiedział jeden z czołowych europejskich filozofów, Jürgen Habermas, są "religijnie niemuzkalni". Jak średniowieczne katedry, pełne sugestywnych obrazów, symboli i religijnych odniesień były dla

ówczesnych niepiśmiennych ludzi "Biblią ubogich" (*Biblia pauperum*), tak to nowoczesne dzieło sztuki może przemówić do ludzi współczesnej kultury obrazkowej zrozumiałym dla nich językiem obrazów i symboli. Nie tylko wnętrze, ale także bogata symbolika fasad zewnętrznych, jest swoistym katechizmem, historią zbawienia przedstawioną w monumentalnych obrazach. Jak podkreślił Benedykt XVI, Sagrada Familia może przyczynić się do przezwyciężenia jednej z podstawowych bolączek naszych czasów: bolesnego rozdarcia między tym, co ludzkie, a tym, co chrześcijańskie, między egzystencją w tym świecie a nadzieją na życie wieczne, między pięknem rzeczy stworzonych a Praźródłem wszelkiego piękna. Imponujące wieże katedry Sagrada Familia nie tylko w interesujący sposób przełamują zdominowaną przez nowoczesne wysokościowce architekturę Barcelony, ale są czymś więcej: są dla współczesnej Hiszpanii i Europy XXI w. drogowskazami wskazującymi na Absolutną Światłość.

Grudzień 2010

„Rewolucja seksualna” w Kościele?

Już drugi raz w czasie swojego pontyfikatu papież Benedykt XVI wywołał poruszenie opinii publicznej wypowiedzią na temat użycia prezerwatyw. Tym razem chodzi o fragment kolejnego już wywiadu – rzeki, udzielonego niemieckiemu dziennikarzowi Peterowi Seewaldowi. Poprzednie wywiady, udzielone przez kardynała Ratzingera jeszcze przed wyborem na Stolicę Piotrową (ukazały się one w j. polskim pod tytułami „Sól ziemi” oraz „Bóg i świat”), stały się bestsellerami na rynku księgarskim. Nie inaczej będzie zapewne i tym razem, jeżeli już w dniu prezentacji książki prasa całego świata dyskutuje na temat papieskiego stwierdzenia, które zdają się nie tylko

modyfikować dotychczasowe nauczanie Kościoła na temat antykoncepcji, ale także przeczyć stanowisku samego Benedykta XVI, jakie wyraził przed rokiem w czasie podróży do Kamerunu. Krótka odpowiedź na pytanie dziennikarzy o skuteczną prewencję wobec epidemii HIV/AIDS, udzielona wtedy na pokładzie samolotu, stała się przedmiotem międzynarodowej dyskusji i wywołała gwałtowne protesty nie tylko pojedynczych osób, ale także rządów państw i organizacji międzynarodowych.

Odpowiadając na pytanie Seewalda nawiązujące do tej burzy medialnej, Benedykt XVI nie tylko nie wycofał się ze swojej wypowiedzi sprzed roku, ale jeszcze bardziej ją wyakcentował: nie można rozwiązać problemu HIV/AIDS poprzez dystrybucję prezerwatyw. Bez całościowego rozwiązania, które obejmuje wzmożony wysiłek na rzecz właściwego podejścia do ludzkiej seksualności, podejścia, które akcentuje wierność, a gdzie to jest konieczne – także abstynencję seksualną, jednostronna fiksacja na kwestii prezerwatyw prowadzi do wręcz odwrotnych skutków: stwarza złudne wrażenie bezpieczeństwa, przez co zwiększa ryzyko zakażenia HIV. Prawdziwym źródłem rozprzestrzeniania się AIDS nie jest brak prezerwatyw a banalizacja seksualności. Właśnie skuteczne przeciwdziałanie u źródła problemu musi poprzedzać wszelką dyskusję na temat ewentualnego użycia prezerwatyw.

Tam, gdzie mamy do czynienia z konkretnymi ludźmi, którzy właśnie w taki banalny sposób podchodzą do swojej aktywności seksualnej – papież wymienia tu przykład prostytutki – tam użycie prezerwatywy może być pierwszym krokiem w kierunku zmiany życia, pierwszym odruchem odpowiedzialności.

Jak interpretować te słowa Benedykta XVI? Zarówno z samego tekstu, jak i z oficjalnego komentarza rzecznika prasowego Stolicy Apostolskiej Federico Lombardiego wynika jasno, że zamiarem papieża nie była zmiana nauczania

moralnego na temat antykoncepcji. Pozostaje ona zachowaniem moralnie złym w kontekście relacji małżeńskiej, a więc w jedynym kontekście, który w nauczaniu Kościoła stanowi przestrzeń moralnie dobrej i godziwej aktywności seksualnej. Jeżeli jednak ktoś zupełnie nie dba o tę naukę i jest całkowicie zanurzony w seksualnej rozwiązłości, wtedy pierwszym krokiem do przemiany życia może być zapobieganie rozprzestrzenianiu się wirusa HIV przez użycie prezerwatywy. Dochodzi tu do głosu znana od dawna w teologii moralnej zasada postępowania spowiedników: jeżeli nie uda się skłonić penitenta do rezygnacji z grzechu (tzn. jeżeli penitent deklaruje, że nie zmieni swojego postępowania), nie jest on wprowadzanie odpowiednio dysponowany do przyjęcia rozgrzeszenia, ale można nakłaniać go, by przynajmniej ograniczył skutki swojego złego postępowania. Świadome ograniczanie tych skutków może być pierwszym znakiem przebudzenia, którego ostatecznym owocem będzie zerwanie z grzechem. W tym konkretnym przypadku nie oznacza to ani usprawiedliwienia moralnego dla prostytucji, ani generalnego przyzwolenia na używanie prezerwatyw. Wypowiedź papieża nie jest zatem nauką o godziwości użycia prezerwatyw, ale o konieczności i możliwości stopniowego moralnego wzrostu w kierunku dobra.

Nie ulega wątpliwości, że te stwierdzenia Benedykta XVI zawierają elementy jeszcze nie wyrażane w ten sposób przez papieży. Jest też z drugiej strony jasne, że mamy do czynienia z wypowiedzią, rzec by można, „prywatną”, gdyż tego rodzaju wywiad nie jest dokumentem Magisterium i nie mieści się w żadnym z rodzajów urzędowego nauczania Kościoła. Niezależnie jednak od tego istotne jest przede wszystkim to, co naprawdę powiedział i chciał wyrazić papież. Jak to zwykle bywa, niektórzy dziennikarze dysponują wprowadzanie najnowsza techniką, jednak w swoich doniesieniach i komentarzach sprawiają wrażenie kogoś, kto zabiera się do ostrzenia ołówka za pomocą siekiery.

Również w tym wypadku komentarze wielu agencji okazały się na tyle toporne i siermężne, że intencja Ojca świętego znowu została w nich całkowicie zniekształcona.

Ks. Marian Machinek MSF